

ROZDZIAŁ 1

22 czerwca 1911 roku

Tego samego dnia, w którym król Jerzy V został koronowany w opactwie westminsterskim, Billy Williams zjechał na przodek w Aberowen w Południowej Walii.

Dwudziestego drugiego czerwca 1911 roku chłopak skończył trzynaście lat. Obudził go ojciec. Jego metoda budzenia była bardziej skuteczna niż miła. Rytmicznie klepał Billy'ego po policzku, mocno i natarczywie. Pograżony w głębokim śnie Billy próbował to ignorować, lecz poklepywanie nie ustało. Przez moment poczuł gniew, ale zaraz przypomniał sobie, że musi — a nawet chce — wstać, więc otworzył oczy i gwałtownie usiadł.

— Czwarta — rzucił ojciec i opuścił pokój, z tupotem schodząc po drewnianych schodach.

Tego dnia Billy miał rozpocząć pracę jako praktykant w kopalni. Większość mężczyzn w miasteczku zaczynała ją, będąc w jego wieku. Chciałby czuć się bardziej jak górnik, ale postanowił, że nie zrobi z siebie głupka. David Crampton płakał swojego pierwszego dnia na dole i wciąż nazywali go Dai Beksa, chociaż miał teraz dwadzieścia pięć lat i był gwiazdą drużyny rugby.

Było tuż po letnim przesileniu i przez okienko wpadało jasne światło. Billy spojrzął na leżącego obok dziadka. Gramper miał

otwarte oczy. Ilekroć Billy się budził, on już nie spał. Mówił, że starzy ludzie nie potrzebują dużo snu.

Billy wstał. Miał na sobie tylko gatki. W zimne dni sypiał w koszuli, lecz Anglia właśnie cieszyła się upalnym latem i noce były ciepłe. Wyjął spod łóżka nocnik i zdjął pokrywkę.

Jego penis, którego nazywał wackiem, nie zmienił rozmiarów. Nadal był dziecięcym fiutkiem. Billy miał nadzieję, że zacznie rosnąć w nocy przed urodzinami albo że przynajmniej zobaczy wyrastający w pobliżu penisa czarny włos, ale niestety. Jego najlepszy przyjaciel, Tommy Griffiths, który urodził się tego samego dnia, był inny: miał chrapliwy głos, ciemny meszek nad górną wargą i wacka jak mężczyzna. To było upokarzające.

Sikając, Billy spojrział przez okno. Zobaczył tylko wielką hałdę, ołowianoszarą górę odpadów z kopalni węgla, głównie łupku i piaskowca. Tak wyglądał świat drugiego dnia jego stworzenia, zanim Bóg powiedział: „Niechaj ziemia porośnie trawą”, pomyślał Billy. Łagodny wietrzyk zwiewał pył węglowy na rzędy domów.

W pokoju tym bardziej nie było na co patrzeć. Znajdował się na tyłach domu i był tak mały, że mieściły się w nim tylko wąskie łóżko, komoda i stary kufer Grampera. Wyszywana makatka na ścianie głośiła:

WIERZ W PANA
JEZUSA CHRYSZTUSA
A BĘDZIESZ
ZBAWIONY

Lustra nie było.

Jedne drzwi prowadziły na schody, a drugie do głównej, większej sypialni, do której można było wejść tylko tędy i w której stały dwa łóżka. Spali tam tata i mama, a także, przed laty, siostry Billy'ego. Najstarsza, Ethel, już opuściła dom, a trzy inne umarły, jedna na różyczkę, druga na koklusz, a trzecia na dyfteryt. Był także starszy brat, który dzielił łóżko z Billym, zanim zjawił się Gramper. Miał na imię Wesley i został zabity pod ziemią przez

wózek, który odczepił się od składu, jedną z tych wanien na kołach służącą do przewożenia węgla.

Billy włożył koszulę. Tę samą, w której wczoraj był w szkole. Dziś czwartek, a on zmieniał koszule tylko w niedziele. Jednak miał nowe spodnie, pierwsze z długimi nogawkami, z grubej wodoodpornej bawełny zwanej moleskinem. Były symbolem wejścia do świata mężczyzn i wciągnął je z dumą, ciesząc się męską szorstkością materiału. Założył gruby skórzany pas i buty odziedziczone po Wesleyu, po czym zszedł na dół.

Większość parteru zajmował niewielki salonik ze stołem na środku, kominkiem oraz samodziałowym kilimem na podłodze. Tata siedział przy stole i czytał stary numer „Daily Mail”. Na jego długim ostrym nosie tkwiły okulary. Mama parzyła herbatę. Odstawiła parujący czajnik i pocałowała Billy’ego w czoło.

— Jak się ma mój mały mężczyzna w dniu urodzin? — zapytała.

Billy nie odpowiedział. Słowo „mały” dotknęło go — ponieważ istotnie był mały — „mężczyzna” także, ponieważ nim nie był. Wszedł do kuchni na tyłach. Zanurzył blaszaną miskę w beczce z wodą, umył twarz i ręce, po czym wylał wodę do płytkiego kuchennego zlewu. W kuchni był kocioł z paleniskiem, ale używano go tylko w dniu cotygodniowej kąpieli, czyli w sobotę.

Obiecano im, że wkrótce będzie bieżąca woda, i w domach niektórych górników już była. Do tych szczęśliwców należała rodzina Tommy’ego Griffithsa. Kiedy Billy odwiedził Tommy’ego, wydało mu się istnym cudem to, że wystarczy przekręcić kurek, by napelnić kubek zimną wodą, i nie trzeba iść z wiadrem do pompy na ulicy. Jednak na Wellington Row, gdzie mieszkali Williamsowie, bieżącej wody jeszcze nie doprowadzono.

Wrócił do saloniku i usiadł przy stole. Mama postawiła przed nim duży kubek herbaty z mlekiem, już posłodzonej. Ukroiła dwie grube kromki domowego chleba i ze spiżarki pod schodami przyniosła osełkę tłuszczu z pieczeni. Billy złożył dłonie, zamknął oczy i powiedział: „Dzięki Ci, Panie, za to jadło, amen”. Potem wypił łyk herbaty i posmarował kromki tłuszczem.

Ojciec oderwał niebieskie oczy od gazety.

— Posól chleb — powiedział. — Będziesz się pocił pod ziemią.

Ojciec Billy'ego był rzecznikiem górników, zatrudnionym przez Stowarzyszenie Górników Południowej Walii, będące najsilniejszym związkiem zawodowym w Wielkiej Brytanii, co powtarzał, ilekroć miał okazję. Zwano go Dai Związek. Wielu mężczyzn nazywano Dai, wymawiane jak „die”, co było skrótem od imienia David lub walijskiego Dafydd. Billy dowiedział się w szkole, że imię David jest bardzo popularne w Walii, ponieważ tak miał na imię święty uważany za patrona kraju, jak święty Patryk w Irlandii. Poszczególnych Daiów rozróżniano nie po nazwisku — w miasteczku prawie każdy nazywał się Jones, Williams, Evans lub Morgan — lecz dzięki przydomkom. Prawdziwych nazwisk używano rzadko, mając do dyspozycji ich zabawne odpowiedniki. Billy nazywał się William Williams, więc nazwali go Billy Podwójny. Kobietom nadawano czasem przydomek męża, tak więc mama była panią Dai Związek.

Gramper zszedł na dół, kiedy Billy jadł drugą kromkę. Pomimo ładnej pogody włożył marynarkę i płaszcz. Umył ręce i usiadł naprzeciwko Billy'ego.

— Nie denerwuj się — powiedział. — Zjechałem na dół, kiedy miałem dziesięć lat. A mój ojciec został tam zanieiony na plecach przez swojego ojca, gdy miał pięć, i pracował od szóstej rano do dziewiętnastej. Od października do marca nie widział słońca.

— Nie denerwuję się — zapewnił Billy. Skłamał. Był przerażony.

Jednak Gramper był miły i nie naciskał. Billy lubił starego. Mama traktowała go jak dziecko, a ojciec surowo i z sarkazmem, lecz Gramper był tolerancyjny i rozmawiał z nim jak z dorosłym.

— Posłuchajcie tego — powiedział Dai. Nigdy nie kupiłby „Daily Mail”, tej prawicowej szmaty, ale czasem przynosił do domu czyjś egzemplarz, żeby czytać go głośno i z pogardą, drwiąc z głupoty i nieuczciwości klasy rządzącej. — *Lady Diana Manners*

została skrytykowana za noszenie tego samego stroju na dwóch balach. Młodsza córka księcia Rutlanda wygrała konkurs na najlepszy kostium damski na balu w Savoyu: miała na sobie suknię bez ramiączek z rozkloszowanym dołem. Dostała dwieście pięćdziesiąt gwinei. — Opuścił gazetę i dodał: — To co najmniej twoje pięcioletnie zarobki, Billy. — Podjął lekturę: — Jednak wywołała krytyczne uwagi znawców, wkładając tę samą suknię na przyjęcie u lorda Wintertona i F.E. Smitha w hotelu Claridge. Co za dużo, to niezdrowo, jak powiadają. — Oderwał wzrok od gazety. — Lepiej zmień tę kieckę, mamuska — rzucił. — Chyba nie chcesz wywołać krytycznych uwag znawców.

Mamy to nie rozbawiło. Miała na sobie starą sukienkę z brzowej wełny, połataną na łokciach i poplamioną pod pachami.

— Gdybym miała dwieście pięćdziesiąt gwinei, wyglądałabym lepiej niż lady Diana Muck* — powiedziała nie bez goryczy.

— To prawda — przyznał Gramper. — Cara zawsze była ładna, tak jak jej matka.

Mama miała na imię Cara. Gramper odwrócił się do Billy'ego.

— Twoja babka była Włoszką. Nazywała się Maria Ferrone. — Billy wiedział o tym, ale Gramper lubił opowiadać rodzinne historie. — To po niej twoja matka ma lśniące czarne włosy i śliczne czarne oczy. I twoja siostra też. Twoja babcia była najpiękniejszą dziewczyną w Cardiff i dostała się mnie! — Nagle posmutniał. — To były czasy — dodał cicho.

Ojciec z dezaprobatą ściągnął brwi, gdyż takie rozmowy sugerowały cielesne żądze, ale mamę ucieszyły komplementy jej ojca i uśmiechała się, stawiając przed nim śniadanie.

— Och tak — westchnęła. — Mnie i moje siostry uważano za piękności. Pokazałybyśmy tym książętom, jak wygląda ładna dziewczyna, gdybyśmy miały pieniądze na jedwab i koronki.

Billy był zdziwiony. Nigdy nie myślał o swojej matce jako pięknej lub nie, choć gdy ubierała się na zebranie kościelne w sobotnie wieczory, wyglądała wspaniale, szczególnie w kapelu-

* Muck (ang.) — nawóz, gnój.

szu. Podejrzewał, że kiedyś mogła być śliczną dziewczyną, ale trudno mu było to sobie wyobrazić.

— Wiedz, że rodzina twojej babci była również mądra — ciągnął Gramper. — Mój szwagier był górnikiem, ale odszedł z kopalni i otworzył kawiarenkę w Tenby. Tam to jest życie: wietrzyk od morza i przez cały dzień nic nie robisz, tylko parzysz kawę i liczysz pieniądze.

Ojciec odczytał następny fragment:

— *W ramach przygotowań do koronacji pałac Buckingham wydał książkę z instrukcjami liczącą dwieście dwanaście stron.* — Spojrzał na Billy'ego znad gazety. — Wspomnij o tym dziś na dole, synu. Ludzie poczną ulgę na wieść, że niczego nie pozostawiono przypadkowi.

Billy'ego niespecjalnie interesowała rodzina królewska. Lubił często publikowane w „Mailu” opowiadania przygodowe o twardej zawodnikach rugby z elitarnych szkół, łapiących przebiegłych niemieckich szpiegów. Według tej gazety tacy szpiedzy przeniknęli do każdego miasteczka w Anglii, choć, niestety, w Aberowen chyba żadnego nie było.

Chłopak wstał.

— Przejdę się po ulicy — oznajmił.

Wyszedł z domu frontowymi drzwiami. „Przejdę się po ulicy” było rodzinnym eufemizmem oznaczającym wyprawę do ubikacji, które znajdowały się w połowie Wellington Row. Niski barak z cegieł nakryty dachem z blachy falistej zbudowano nad głęboką dziurą w ziemi. Był podzielony na dwie części, dla mężczyzn i dla kobiet. W obu były po dwa miejsca, więc ludzie wchodzili tam dwójkami. Nikt nie wiedział, dlaczego budowniczy wybrali takie rozwiązanie, ale wszyscy korzystali z tego najlepiej, jak mogli. Mężczyźni patrzyli przed siebie i nic nie mówili, lecz kobiety — co Billy często słyszał — prowadziły towarzyskie pogawędki. Smród dusił nawet tych, którzy przywykli do niego od dziecka. Będąc w środku, Billy zawsze starał się jak najmniej oddychać i wychodził, spazmatycznie łapiąc powietrze. Latrynę czyścił człowiek nazywany Dai Brudny.

Wróciwszy do domu, Billy ucieszył się, widząc swoją siostrę Ethel siedzącą przy stole.

— Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, Billy! — wykrzyknęła. — Przyszłam dać ci całusa, zanim zjedzisz po ziemię.

Ethel miała osiemnaście lat i Billy bez trudu mógł uważać ją za piękną. Jej mahoniowe włosy kręciły się, a w ciemnych oczach migotał łobuzerski błysk. Może mama kiedyś tak wyglądała. Ethel nosiła prostą czarną sukienkę i biały czepek pokojówki — strój, w którym było jej do twarzy.

Billy ją uwielbiał. Była nie tylko śliczna, ale także zabawna, mądra i odważna, czasem potrafiła nawet stawić czoło ojcu. Rozmawiała z Billym o sprawach, których nikt inny nie chciał mu wyjaśnić, takich jak miesięczna przypadłość nazywana przez kobiety klątwą albo zbrodnia obrazy moralności publicznej, w wyniku której anglikański duchowny musiał w pośpiechu opuścić miasteczko. W szkole zawsze była najlepszą uczennicą, a jej wypracowanie na temat *Moje miasteczko lub wioska* zdobyło pierwszą nagrodę w konkursie ogłoszonym przez „South Wales Echo”. Dostała egzemplarz *Atlasu świata* Cassella.

Pocałowała Billy’ego w policzek.

— Powiedziałam gospodyni, pani Jevons, że kończy nam się pasta do butów, więc lepiej będzie, jeśli pójde ją kupić. — Ethel mieszkała i pracowała w Ty Gwyn, ogromnym domu hrabiego Fitzherberta, milę od hałdy. Wręczyła Billy’emu coś zawiniętego w czystą szmatkę. — Ukradłam dla ciebie kawałek ciasta.

— Och, dzięki, Eth!

Uwielbiał ciasto.

— Mam ci je włożyć do pudełka? — spytała mama.

— Tak, proszę.

Mama wyjęła z kredensu blaszane pudełko i włożyła do niego ciasto. Ukroiła dwie kolejne kromki chleba, posmarowała je tłuszczem, posypała solą i również umieściła w pudełku. Wszyscy górnicy takie mieli. Gdyby zabrali na dół jedzenie owinięte w szmatkę, myszy zjadłyby je przed przerwą śniadaniową.

— Kiedy przyniesiesz wypłatę, będziesz miał w puszcze kawałek gotowanego boczku.

Zarobki Billy'ego z początku nie będą wysokie, lecz mimo to odczuwalnie poprawią sytuację finansową rodziny. Zastanawiał się, ile mama zostawi mu kieszonkowego i czy kiedyś uda mu się zbierać na rower, którego pragnął bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Ethel usiadła przy stole.

— Jak tam sprawy w wielkim domu? — zapytał ją ojciec.

— Dobrze i spokojnie. Hrabia i księżniczka są w Londynie na koronacji. — Spojrzała na zegar stojący na półce nad kominem. — Wkrótce będą musieli wstać, bo muszą być wcześniej w katedrze. Jej się to nie spodoba, nie przywykła do wczesnego wstawania, ale nie może spóźnić się do króla.

Żona hrabiego, Bea, była rosyjską księżniczką i wielką panią.

— Zechcą zająć miejsca z przodu, żeby dobrze widzieć — powiedział tata.

— Och nie, nie można siadać, gdzie się chce — wyjaśniła Ethel. — Zrobiono sześć tysięcy specjalnych mahoniowych krzeseł z nazwiskami gości wytłoczonymi na oparciach złotymi literami.

— Cóż za marnotrawstwo! — wykrzyknął Gramper. — Co potem z nimi zrobią?

— Nie wiem. Może wszyscy zabiorą je do domów na pamiątkę.

— Powiedz im, żeby przysłali nam jakieś zbędne — rzekł sucho ojciec. — Jest nas tylko pięcioro, a twoja mama musi stać.

Kiedy ojciec żartował, mógł skrywać w ten sposób gniew. Ethel zerwała się na równe nogi.

— Och, przepraszam, mamo. Nie pomyślałam.

— Nie wstawaj, jestem zbyt zajęta, żeby siadać — uspokoiła ją mama.

Zegar wybił piątą.

— Lepiej bądź tam wcześniej, Billy. Pokaż, że ci zależy.

Billy podniósł się niechętnie i wziął pudełko z jedzeniem.

Ethel znów go pocałowała, Gramper uściśnął mu dłoń, a ojciec dał dwa sześciocalowe gwoździe, zardzewiałe i lekko zgięte.

— Włóż je do kieszeni spodni.

— Po co? — spytał Billy.

— Zobaczysz — odrzekł ojciec z uśmiechem.

Matka wręczyła Billy'emu zakręcaną litrową butelkę ze słodzoną zimną herbatą z mlekiem.

— I pamiętaj, Billy, że Jezus zawsze jest z tobą, nawet na dole — powiedziała.

— Tak, mamó.

Widział łzy w jej oczach i szybko się odwrócił, ponieważ na ten widok i jemu zbierało się na płacz. Zdjął czapkę z kołka.

— No to pa — mruknął, jakby szedł do szkoły, i wyszedł frontowymi drzwiami.

Dotychczas lato było upalne i słoneczne, lecz tego dnia wydawało się, że będzie padać. Tommy opierał się o ścianę domu i czekał na Billy'ego.

— Cześć, Billy — rzucił.

— Cześć, Tommy.

Ramię w ramię poszli ulicą.

Billy dowiedział się w szkole, że Aberowen kiedyś było miasteczkiem targowym, do którego zjeżdżali farmerzy z okolicznych wzgórz. Z górnego końca Wellington Row można było zobaczyć stare centrum targowe, z otwartymi zagrodami dla bydła, budynkiem skupu wełny i anglikańskim kościołem — wszystko to po jednej stronie rzeki Owen, niewiele szerszej od strumyka. Teraz tory kolejowe przecinały miasteczko niczym rana, kończąc się przy szybie kopalnianym. Zbocza doliny obsiadły domki górników — setki budynków z szarego kamienia o dachach krytych ciemniejszym walijskim łupkiem. Stały w długich krętych rzędach, przyklepione do zboczy. Przecinały je krótsze przecznice opadające na dno doliny.

— Jak myślisz, z kim będziesz pracował? — zapytał Tommy.

Billy wzruszył ramionami. Nowi chłopcy byli przydzielani do któregoś z zastępców dyrektora.

— Tego nikt nie wie.

— Mam nadzieję, że przydzielą mnie do stajni. — Tommy

lubił konie. W kopalni było około pięćdziesięciu kucyków. Ciągnęły po szynach wagoniki z urobkiem. — A jaką pracę ty chciałbyś wykonywać?

Billy miał nadzieję, że nie dadzą mu roboty ponad jego dziecięce siły, ale nie chciał się do tego przyznać.

— Smarowanie wagoników — rzekł.

— Dlaczego?

— Bo wydaje się, że to łatwe.

Minęli szkołę, której jeszcze wczoraj byli uczniami. Ten wiktoriański budynek miał łukowe okna jak kościół. Został zbudowany przez rodzinę Fitzherbertów, o czym dyrektor niestrudzenie uczniom przypominał. Hrabia nadal zatrudniał nauczycieli i decydował o programie nauczania. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające heroiczne zwycięskie bitwy, a głównym tematem lekcji była wielkość Anglii. Na lekcjach religii, od których zaczynały się codzienne zajęcia, nauczano doktryny anglikańskiej, chociaż niemal wszystkie dzieci pochodziły z rodzin innych wyznań. Rada szkoły, której członkiem był ojciec Billy'ego, stanowiła jedynie ciało doradcze. Ojciec mówił, że hrabia traktuje szkołę jak swoją prywatną własność.

W ostatniej klasie Billy i Tommy uczyli się podstaw górnictwa, a dziewczęta szycia i gotowania. Billy ze zdziwieniem odkrył, że ziemia pod nim składa się z różnych warstw, niczym kanapka. Jedną z tych warstw jest złożo węgla — określenie, które często słyszał, nie rozumiejąc, co oznacza. Powiedziano mu, że ten węgiel powstał z zeschniętych liści i innej materii organicznej, nagromadzonej przez tysiące lat i sprasowanej przez ciężar leżącej na niej ziemi. Tommy, którego ojciec był ateistą, twierdził, iż to dowodzi, iż Biblia nie mówi prawdy, lecz ojciec Billy'ego tłumaczył, że to tylko jedna z możliwych interpretacji.

O tej porze w szkole nie było nikogo i podwórko świeciło pustkami. Billy był dumny, że już nie chodzi do szkoły, chociaż w głębi duszy wolałby iść teraz na lekcje niż do kopalni.

Gdy zbliżali się do szybu, na ulicach zaczęli pojawiać się górnicy, każdy z pudełkiem śniadaniowym i butelką herbaty.

Wszyscy nosili stare ubrania, które mieli zdjąć na stanowiskach pracy. Niektóre kopalnie były zimne, lecz w tej w Aberowen panował upał i ludzie pracowali w butach i bieliźnie lub w szorstach z szorstkiego lnu, które nazywali gaciami. Wszyscy nosili grube czapki, ponieważ w niskich tunelach łatwo uderzyć się w głowę.

Nad domami Billy widział windę — wieżę z dwoma wielkimi kołami obracającymi się w przeciwnych kierunkach, ciągnącymi liny podnoszące i opuszczające klatkę. Podobne wieże wyciągowe wznosiły się nad większością miasteczek w dolinach Południowej Walii, tak jak wieże kościołów górują nad wioskami.

Wokół szybu rozrzucone były inne budynki, jakby upuszczone tam przypadkowo: lampiarnia, biuro, kuźnia, magazyny. Między zabudowaniami wily się jak węże tory. Na śmietniku leżały zepsute wagoniki, stare drewno budulcowe, worki po prowiancie oraz sterty zardzewiałej maszynerii, a wszystko pokryte warstwą pyłu węglowego. Ojciec mawiał, że byłoby mniej wypadków, gdyby górnicy utrzymywali porządek.

Billy i Tommy weszli do biura kopalni. W pokoju od frontu siedział Arthur „Pryszczaty” Llewellyn, urzędnik niewiele starszy od nich. Jego biała koszula miała brudny kołnierzyk i mankiety. Czekano na nich — ich ojcowie uzgodnili wcześniej, że chłopcy dziś zaczną pracę. Pryszczaty zapisał ich nazwiska w księdze, a potem zaprowadził ich do biura zarządcy kopalni.

— Młody Tommy Griffiths i młody Billy Williams, panie Morgan — oznajmił.

Maldwyn Morgan był wysokim mężczyzną i nosił czarny garnitur. Mankiety jego koszuli nie były ubrudzone węglem. Miał gładkie różowe policzki, co oznaczało, że codziennie się goli. Jego dyplom inżyniera wisiał na ścianie oprawiony w ramki, a melonik — kolejna oznaka wysokiej pozycji — dumnie tkwił na wieszaku przy drzwiach.

Ku zdziwieniu Billa nadzorca nie był sam. Obok niego stała jeszcze znamienitsza postać: Perceval Jones. Prezes Celtic Minerals, firmy dzierżawiącej i eksploatującej kopalnię węgla w Aberowen

oraz kilka innych, był małym agresywnym mężczyzną, nazywanym przez górników Napoleonem. Miał na sobie surdut, długi czarny płaszcz, szare spodnie w prążki, a na głowie cylinder.

Spojrzał z niesmakiem na chłopców.

— Griffiths — prychnął. — Twój ojciec jest rewolucyjnym socjalistą.

— Tak, panie Jones — powiedział Tommy.

— I ateistą.

— Tak, panie Jones.

— Nie lubię socjalistów. Ateiści są skazani na wieczne potępienie. A związkowcy są najgorsi ze wszystkich.

Przeszył ich gniewnym spojrzeniem, ale o nic więcej nie pytał, więc Billy nic nie powiedział.

— Nie chcę tu wicherzycieli — ciągnął Jones. — W dolinie Rhondda strajkowali przez czterdzieści trzy tygodnie, ponieważ podburzyli ich tacy ludzie jak wasi ojcowie.

Billy wiedział, że strajku w Rhondda nie wywołali wicherzyciele, lecz właściciele Ely Pit w Penygraig, którzy nie dopuścili górników do pracy. Jednak trzymał język za zębami.

— Jesteście wicherzycielami? — Jones wycelował kościsty palec w Billy'ego, a ten zadrżał. — Czy ojciec kazał ci domagać się swoich praw, kiedy dla mnie pracujesz?

Billy próbował zebrać myśli, co było trudne, gdyż Jones wyglądał bardzo groźnie. Ojciec niewiele mówił tego ranka, ale poprzedniego wieczoru dał mu radę.

— Proszę pana, powiedział mi tak: „Nie pyskuj szefom, to moja robota”.

Za jego plecami Pryszczyaty Llewellyn zachichotał.

Percevala Jonesa to jednak nie rozbawiło.

— Bezczelny dzikus — mruknął. — Jednak jeśli cię odprawię, będę tu miał strajk całej doliny.

Billy'emu nie przyszło to do głowy. Czy jest aż tak ważny? Nie, ale górnicy mogliby zastrajkować w imię zasady nakazującej bronić dzieci ich przedstawicieli. Nie przepracował jeszcze pięciu minut, a związek już go broni.

— Zabieraj ich stąd — polecił Jones.

Morgan skinął głową.

— Wyprowadź ich na zewnątrz, Llewellyn. Niech Rhys Price się nimi zajmie.

Billy jęknął w duchu. Rhys Price był jednym z najmniej lubianych nadzorców. Przed rokiem zalecał się do Ethel, a ona go spławiła. Tak samo jak połowę kawalerów w Aberowen, ale Price źle to przyjął.

Pryszcztaty ruchem głowy pokazał im drzwi.

— Wyjdźcie — powiedział i poszedł za nimi. — Zaczekajcie na zewnątrz na pana Price'a.

Billy i Tommy wyszli z budynku i oparli się o ścianę przy drzwiach.

— Walnąłbym Napoleona w ten jego tłusty kałdun — prychnął Tommy. — Typowy kapitalistyczny drań.

— Taak — mruknął Billy, chociaż wcale tak nie myślał.

Rhys Price pojawił się po minucie. Jak wszyscy nadzorcy nosił kapelusz z niską zaokrągloną główką, droższy od czapki górnika, ale tańszy niż melonik. Z kieszeni kamizelki wystawał notatnik i ołówek, a w rękę trzymał miarkę. Price miał ciemny zarost i szparę między przednimi zębami. Billy wiedział, że jest sprytny i podstępny.

— Dzień dobry, panie Price — powiedział.

Price spojrzął na niego podejrzliwie.

— Jaki masz w tym interes, żeby mówić mi „dzień dobry”, Billy Podwójny?

— Pan Morgan kazał nam zjechać z panem na dół.

— Ach tak? — Price zawsze rozglądał się na boki, a czasem rzucał okiem za siebie, jakby spodziewał się kłopotów z nieoczekiwanej strony. — Zobaczymy. — Popatrzył na koło windy, jakby tam szukał odpowiedzi. — Nie mam czasu zajmować się chłopcami.

Wszedł do biura.

— Mam nadzieję, że znajdzie kogoś innego, żeby zabrał nas na dół — szepnął Billy. — Nienawidzi mojej rodziny, bo moja siostra nie chciała z nim chodzić.

— Twoja siostra myśli, że jest za dobra dla mężczyzn z Aberowen — stwierdził Tommy, najwyraźniej powtarzając coś, co usłyszał.

— Bo jest za dobra — stanowczo rzekł Billy.

Pojawił się Price.

— W porządku, tędy — powiedział i ruszył żwawym krokiem.

Chłopcy poszli za nim do lampiarni. Lampowy wręczył Billy'emu błyszczącą mosiężną lampę i chłopiec przyczepił ją sobie do paska, tak jak robili to dorośli.

Dowiedział się o lampach górniczych w szkole. Jednym z niebezpieczeństw związanych z wydobywaniem węgla był metan, palny gaz, który sączy się przez szczeliny złoża. Górnicy nazywali jego wyciek „puchaczem”; stanowił przyczynę wszystkich podziemnych wybuchów. Walijskie kopalnie były znane z dużej zawartości metanu. Lampę skonstruowano tak zmyślnie, że jej płomień nie zapala metanu, lecz zmienia kształt, wydłużając się, i w ten sposób działa ostrzegawczo — ponieważ metan jest bezwonny.

Jeśli lampa zgasła, górnik nie mógł zapalić jej sam. Zwożenie zapalek pod ziemię było zabronione, a lampa miała zamkniętą obudowę, zniechęcającą do prób łamania tego zakazu. Zgaszoną lampę należało zanieść do punktu zapalania, znajdującego się zazwyczaj w pobliżu szybu windy. Mogło się to wiązać z koniecznością przejścia paru mil, ale warto było się pomęczyć, żeby uniknąć podziemnego wybuchu.

W szkole powiedziano chłopcom, że taka bezpieczna lampa to jeden z przejawów troski właścicieli kopalni o pracowników.

— Jakby w interesie szefów nie leżało zapobieganie eksplozjom, przerwom w pracy i uszkodzeniom tuneli — sztychł ojciec.

Wziąwszy lampy, górnicy ustawili się w kolejce do windy. W pobliżu umieszczono sprytnie tablicę ogłoszeniową. Odręcznie napisane lub prymitywnie wydrukowane ogłoszenia informowały o treningach krykieta, zawodach w rzucaniu strzałkami, zgubionym scyzoryku, recitalu chóru męskiego z Aberowen oraz wykładzie w bibliotece na temat teorii materializmu historycznego Karola

Marksa. Nadzorcy nie musieli czekać i Price przecisnął się na początek kolejki, a chłopcy za nim.

Jak w większości kopalni, w Aberowen były dwa szyby z wentylatorami umieszczonymi tak, żeby tłoczyły powietrze w dół jednym, a wypychały drugim. Właściciele często nadawali szybom wymyślne nazwy. Tutaj nazwali je „Pyram” i „Tyzbe”. Ten, przed którym stali, „Pyram”, odprowadzał powietrze i Billy czuł płynący z niego ciepły podmuch.

W zeszłym roku Billy i Tommy postanowili zajrzeć do szybu. W lany poniedziałek, gdy górnicy nie pracowali, chłopcy ominęli stróża i przemknęli się przez śmietnisko do szybu, po czym przeszli przez płot. Wylot szybu nie był całkowicie obudowany, więc położyli się na brzuchach i spojrzeli za krawędź. Z fascynacją spoglądali w głąb tej strasznej dziury i Billy poczuł, że przewraca mu się w żołądku. Ciemność wydawała się bezkresna. Cieszył się, że nie musi tam zjeżdżać, a jednocześnie był przerażony na myśl o tym, że kiedyś będzie do tego zmuszony. Wrzucił do szybu kamień i obaj słuchali, jak odbija się od drewnianej prowadnicy klatki windy oraz ceglanych ścian. Wydawało się, że minął potwornie długi czas, zanim daleko w dole usłyszeli cichy plusk — to kamień wpadł do wody.

Teraz, rok później, Billy miał pójść w ślady tego kamienia.

Nakazał sobie nie stchórzyć. Powinien zachowywać się jak mężczyzna, nawet jeśli się nim nie czuje. Najgorzej byłoby, gdyby zrobił z siebie pośmiewisko. Tego bał się bardziej niż śmierci.

Widział przesuwaną kratę zamykającą szyb. Za nią ziała pustka, gdyż winda jechała do góry. Po drugiej stronie szybu ujrzał maszynię obracającą wielkie koła wysoko w górze. Z maszyny wydobywały się strumienie pary. Liny trzeszczały w prowadnicach. Wokół unosił się zapach rozgrzanego oleju.

Ze szcękaniem żelastwa pusta klatka windy pojawiła się za kratą, a windziarz odsunął ją. Rhys Price wszedł do pustej kabiny, a chłopcy poszli w jego ślady. Za nimi weszło trzynastu górników, gdyż winda mogła pomieścić szesnaście osób. Windziarz zatrzasnął drzwi.

Przez moment nic się nie działo. Billy czuł się niepewnie. Podłoga pod jego nogami była solidna, lecz bez trudu mógłby się precyzyjnie między szeroko rozstawionymi prętami boków. Klatka wisiała na stalowej linie, a mimo to nie była zupełnie bezpieczna: wszyscy wiedzieli, że w Tirpentwys taka lina pękła pewnego dnia w 1902 roku i kabina spadła na dno szybu, zabijając ośmiu mężczyzn.

Skinął głową stojącemu obok górnikowi. Był nim Harry „Łój” Hewitt, chłopak o nalanej twarzy, zaledwie trzy lata starszy, ale o stopę wyższy od niego. Billy pamiętał go ze szkoły: utknął w trzeciej klasie z dziesięciolatkami, oblewając każdy egzamin, aż osiągnął wiek, w którym mógł iść do pracy.

Zadzwoił dzwonek sygnalizujący, że operator na dnie szybu zamknął kratę. Windziarz pociągnął dźwignię i zadzwonił inny dzwonek. Maszyna parowa zasyczała i dał się słyszeć kolejny trzask.

Kabina runęła w pustkę.

Billy wiedział, że opada swobodnie, a potem zaczyna hamować, lecz żadna wiedza teoretyczna nie mogła przygotować go na wrażenie niepowstrzymanego spadania w trzewia ziemi. Jego stopy oderwały się od podłogi. Wrzasnął ze strachu. Nie mógł się powstrzymać.

Wszyscy mężczyźni się roześmiali. Wiedzieli, że to jego pierwszy raz, i teraz uświadomił sobie, że czekali na jego reakcję. Za późno zauważył, że wszyscy trzymają się prętów klatki, żeby nie unieść się w powietrze. Jednak ta świadomość nie zmniejszyła jego przerażenia. Zaciskając zęby, zdołał powstrzymać krzyk.

W końcu zadziałał hamulec. Kabina zaczęła spadać wolniej i stopy Billy’ego znów dotknęły podłogi. Złapał pręt i starał się opanować drżenie. Po chwili strach zastąpiła złość, że był bliski łez. Spojrzał na roześmianą twarz Hewitta i wrzasnął, przekrzykując hałas:

— Zamknij dziób, Hewitt, ty gównomózgi dupku!

Łój natychmiast przestał się szczerzyć i wyglądał na wściekłego, ale pozostali mężczyźni zaczęli się śmiać jeszcze głośniejszym głosem. Billy

będzie musiał przeprosić Jezusa za przeklinanie, ale czuł się przynajmniej trochę mniej głupio.

Spojrzał na Tommy'ego, który był błądy jak ściana. Czy też krzyczał? Billy bał się zapytać, żeby nie usłyszeć zaprzeczenia.

Winda zatrzymała się, odsunięto kratę i Billy z Tommym weszli roztrzęsieni do kopalni.

Górnice lampki dawały mniej światła niż parafinowe kaganki w domu i w kopalni było ciemno jak w bezksiężycową noc. Może nie muszą dobrze widzieć, żeby wyrąbywać węgiel, pomyślał Billy. Z pluskiem wszedł w kałużę i spojrzawszy pod nogi, zobaczył wszędzie wodę i błoto oraz odbijające się w nich blade płomyki lamp. W ustach czuł jakiś dziwny posmak: powietrze było gęste od pyłu węglowego. Czy to możliwe, że ci ludzie oddychają nim przez cały dzień? Pewnie dlatego górnicy wciąż kaszlą i spluwają.

Przy windzie czekali czterej mężczyźni, żeby wyjechać na powierzchnię. Każdy z nich trzymał w ręku skórzaną torbę i Billy uświadomił sobie, że to strażacy. Każdego ranka, zanim górnicy zaczną pracę, strażacy sprawdzają stężenie metanu. Jeśli jest zbyt wysokie, nakazują ludziom wstrzymać pracę i czekać, aż wentylatory oczyszczą powietrze.

Niedaleko Billy dostrzegł rząd boksów dla kucyków oraz otwarte drzwi wiodące do jasno oświetlonego pokoju z biurkiem, zapewne biura nadzorców. Mężczyźni zniknęli w czterech tunelach rozchodzących się promieniście od szybu. Nazywano je wylotami i prowadziły do odcinków, na których urabiano węgiel.

Price zaprowadził ich do magazynu narzędzi i otworzył kłódkę. Wybrał dwie łopaty, dał je chłopcom i znów zamknął drzwi na kłódkę.

Poszli do stajni. Mężczyzna w samych szortach i butach wyrzucał z boksu brudną ściółkę, ładując ją na kopalniany wózek. Po jego muskularnych plecach spływał pot.

— Chcesz chłopaka do pomocy? — zapytał Price.

Mężczyzna odwrócił się i Billy rozpoznał Daia Kucyka, starszego z kaplicy Bethesda. Dai nie okazał, że poznaje Billy'ego.

— Nie chcę tego małego — mruknął.

— Dobra — rzekł Price. — Ten drugi to Tommy Griffiths. Jest twój.

Tommy wyglądał na zadowolonego. Spełniło się jego życzenie. Chociaż miał tylko sprzątać stajnie, będzie pracował przy koniach.

— Chodź, Billy Podwójny — powiedział Price i wszedł do jednego z tuneli.

Billy zarzucił łopatę na ramię i poszedł za nim. Teraz, kiedy nie było przy nim Tommy'ego, czuł jeszcze większy niepokój. Żałował, że nie kazano mu czyścić stajni tak jak przyjacielowi.

— Co będę robił, panie Price? — zapytał.

— Chyba możesz zgadnąć, no nie? Jak myślisz, po co dałem ci tę pierdoloną łopatę?

Billy był zaszokowany tak niefrasobliwym użyciem zakazanego słowa. Nie domyślał się, co będzie robił, ale nie zadawał więcej pytań.

Tunel miał owalny przekrój i strop wzmocniony wygiętymi stalowymi wspornikami. Górą biegła rura o dwucalowej średnicy, zapewne wodociągowa. Tunele co noc spryskiwano wodą, próbując zmniejszyć ilość pyłu. Nie tylko był groźny dla ludzkich płuc — gdyby tak było, Celtic Minerals prawdopodobnie by się tym nie przejmowała — ale groził także wybuchem pożaru. Jednak system spryskiwaczy był niewystarczający. Ojciec twierdził, że potrzebna jest sześciocalowa rura, lecz Perceval Jones nie chciał wydać na nią pieniędzy.

Po około ćwierć mili skręcili w boczny tunel biegnący w górę. Był starszy i mniejszy, z drewnianymi stemplami zamiast stalowych kręgów. Price musiał się schylać, żeby nie uderzyć głową o niski strop. Mniej więcej co trzydzieści jardów mijali wejścia na stanowiska, na których górnicy już rąbali węgiel.

Billy usłyszał turkot.

— Do kanału — polecił Price.

— Co?

Billy spojrział pod nogi. Kanał biegnie w mieście pod chodnikami, a tu nie widział niczego oprócz torów, po których jeżdżą

wózki. Spojrzał przed siebie i zobaczył truchtającego ku niemu kuca, szybko zbiegającego tunelem i ciągnącego sznur wózków.

— Do kanału! — krzyknął Price.

Billy nadal nie rozumiał, czego od niego chce, ale widział, że tunel jest niewiele szerszy od wózków, które zaraz go zmiażdżą. Nagle Price jakby wszedł w ścianę i znikł.

Billy rzucił łopatę, odwrócił się i popędził tam, skąd przyszedł. Starał się uciec przed kucem, lecz ten biegł zadziwiająco szybko. Nagle Billy zauważył niszę wykutą w ścianie na całej wysokości tunelu i uświadomił sobie, że widział takie nisze — nie rejestrując ich w pamięci — mniej więcej co trzydzieści jardów. Zapewne taką niszę miał na myśli Price, mówiąc o kanale. Billy wskoczył do jednej z nich i skład z turkotem przemknął obok.

Kiedy znikł w oddali, Billy wyszedł z kanału, ciężko dysząc.

Price udawał rozgniewanego, ale się uśmiechał.

— Musisz być czujniejszy — powiedział. — Inaczej zginiesz jak twój brat.

Billy odkrył, że większość mężczyzn bawi się wytykaniem i wyszydzeniem niewiedzy chłopców. Postanowił, że on będzie inny, kiedy dorośnie.

Podniósł łopatę. Nie była uszkodzona.

— Masz szczęście — skomentował Price. — Gdyby wózek ją uszkodził, musiałbyś zapłacić za nową.

Poszli dalej i wkrótce weszli na odcinek, gdzie wszystkie stanowiska były opuszczone. Tu pod nogami było mniej wody, a spąg pokrywała gruba warstwa pyłu węglowego. Kilkakrotnie skręcali i Billy stracił orientację.

Dotarli do miejsca, gdzie tunel był zablokowany przez brudny stary wózek.

— To miejsce trzeba oczyścić — powiedział Price. Po raz pierwszy zechciał cokolwiek mu wyjaśnić i Billy miał wrażenie, że kłamie. — Twoje zadanie to załadować ten gnój do wózka.

Billy się rozejrzał. Jak daleko sięgało światło jego lampy, i pewnie o wiele dalej, leżała gruba warstwa pyłu. Mógł szufłować go przez tydzień i nie byłoby widać żadnej różnicy. I po co? To

opuszczone wyrobisko. Jednak nie zadawał pytań. Może to jakaś próba.

— Wróć za jakiś czas i zobaczę, jak ci idzie — oznajmił Price i odszedł, zostawiając Billy'ego samego.

Tego Billy się nie spodziewał. Zakładał, że będzie pracował ze starszymi mężczyznami i uczył się od nich. Jednak mógł robić tylko to, co mu kazano. Odczepił lampę od paska i rozejrzał się, gdzie ją postawić. Nie było niczego, co mogłoby posłużyć za półkę. Umieścił lampę na ziemi, lecz tam była właściwie bezużyteczna. Wtedy przypomniał sobie o gwoździach, które dał mu ojciec. A więc do tego mają służyć. Wyjął jeden z kieszeni. Łopata wbił go w drewniany stempel, po czym zawiesił na nim lampę. Teraz było lepiej.

Dorosłemu mężczyźnie wózek sięgał do piersi, ale Billy'emu do ramienia, więc kiedy zaczął pracę, odkrył, że połowa pyłu zsuwa się z łopaty, zanim przerzuci go przez krawędź. Zaczął okręcać łopatę tak, żeby temu zapobiec. Po kilku minutach spływał potem i zrozumiał, do czego służy drugi gwóźdź. Wbił go w inny stempel i powiesił na nim koszulę i spodnie.

Po pewnym czasie poczuł, że ktoś go obserwuje. Kątem oka dostrzegł niewyraźną postać stojącą nieruchomo jak posąg.

— O Boże! — krzyknął i się odwrócił.

To był Price.

— Zapomniałem sprawdzić twoją lampę — powiedział. Zdjął lampę Billy'ego z gwoździa i coś z nią zrobił. — Nie najlepsza — stwierdził. — Zostawię ci moją.

Powiesił ją na gwoździu i znikł.

Paskudny typ, ale przynajmniej troszczy się o bezpieczeństwo Billy'ego.

Chłopak znów zabrał się do pracy. Wkrótce rozboleły go ramiona i nogi. Powiedział sobie, że przecież jest przyzwyczajony do machania łopata. Ojciec na ugorze za domem trzymał świnie i do Billy'ego należało wyrzucanie gnoju z chlewa raz na tydzień. Jednak to zajmowało mu zaledwie kwadrans. Czy zdoła zrobić to przez cały dzień?